

chem zgniół niedopalonego papierosa w popielniczkę.

Przymrużył mocniej swoje oczy krótkowidza, chcąc może ukryć ironiczne iskielki, jakie mu zamigotały w źrenicach.

— Choroba pani Konradowej nie zdaje się być zbyt poważną... — wyrzekł po chwili, tonem zupełnie swobodnym, w którym jednak wprawne ucho mogło złowić odcień szyderstwa. — Młoda pani wyglądała zupełnie zdrowo...

Pani Żarnicka przygryzła wargi. Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

— Bratową bolała trochę głowa — usiłowała salwować kłamstwem matki Lola — ale pewnie już się jej lepiej zrobiło. Zapewne zechce wyjść do nas i pozna ją pan... Pójdę ją poprosić...

— Zostań — powiedziała krótko matka. — Ja sama pójdę.

Pani Żarnicka wstała i szybkim krokiem wyszła z salonu, pozostawiając młodych sam na sam.

Józia zdumiała się, kiedy bez pukania otworzyły się drzwi jej pokoju i zarysowała się w nich wyniosła, imponująca w zwojach czarnej materii i koronek, postać teściowej.

Pani Żarnicka zmierzyła rozognionym wzrokiem napół rozplecione warkocze młodej kobiety i jej luźną, głęboko wyciętą bluzkę.

— Czy to w takim stroju chodziłaś otwierać drzwi młodemu mężczyźnie?! — rzuciła ostre zapytanie.

Józia zawstydzona spłonila się.

— Nie wiedziałam przecież, kto dzwoni... — odpowiedziała cicho.

— A któż ci kazał wogóle otwierać?! Czy nie wiesz, że w przyzwoitych domach jest do tego służba!... Chcesz pewnie, żeby się ludzie litowali nad tobą, że robimy z ciebie pokójkę!...

Józia otworzenie drzwi wydawało się rzeczą tak naturalną i mało znaczącą, że nie mogła pojąć, o co właściwie matce męzowskiej chodzi.

— Ten pan dzwonił już trzy razy... Joasia widać nie słyszała, czy nie było jej w domu, więc myślałam... — próbowała się usprawiedliwiać.

— Już ja wiem, co ty myślisz!... O! wiem, lepiej, niż ci się zdaje!... I, proszę cię, na przyszłość zechciej być mniej troskliwą o moich gości.

— Dobrze. Będę pamiętała.

— A teraz ubierz się porządnie — jeżeli masz coś porządnego w twojej garderobie — i wyjdź do salonu.

Józia zdziwiła się, ale oczy jej pojaśniały.

Zaczynało się już jej przykrzyć to samotnicze życie w odosobnieniu.

Pani Żarnicka pochwyciła odrazu ten błysk uciechy i wytłumaczyła go sobie po swojemu.

— A nie wydekoltuj się jak lafirynda! Nie kokietaj, rozumiesz?! —

Na twarz młodej kobiety buchnęły płomienne rumieńce urazu. Oczy zaiskrzyły się gniewnie.

— Mogę wcale nie wyjść!

— Wyjdiesz, jeżeli ci mówię!... Proszę cię, tylko bez fochów!... Ubieraj się!...

Pani Żarnicka z głośnym stukiem zamknęła drzwi za sobą.

— Nie wyjdę! O! óż nie wyjdę! — powtarzała sobie przez zaciśnięte zęby Józia. — Jak ona mnie traktuje!... Jak śmie!... Nie chcę znać jej salonu i jej gości!

Po chwili jednak osłabło gniewne uniesienie. Józia zaczęła się wahać. Pokusa była bardzo silna. Tak się jej chciało zobaczyć kogoś, porozmawiać trochę, rozerwać się — rozweselić!

— Możeby i Konrad miał mi to za złe, gdybym się uparła, więc chyba wyjdę!... Ale ubiorę się starannie i na złość tej starej sekutnicy będę ładnie wyglądała!...

Wyjęła ze szafy niebieską „electricque“ suknię z miękkiej, lekkiej wełny, której barwa doskonale harmonizowała z cerą Józii i kolorem jej oczu.

Bluzkę zdobił szeroki, koronkowy kołnierz, z którego szyja wykwiłała, jak smukła łodyga białego, delikatnego kwiatu.

Warkocze upięła Józia wysoko, odstawiając śliczne, małe, różowe konchy uszu i delikatne skronie, leciutko porysowane siatką niebieskich żyłek.

Spojrzała uważnie w lustro i uśmiechnęła się.

— Tak jest i poważnie i do twarzy!...

Spięta jeszcze na szyi sznurek blade-różowych, weneckich korali, pamiątkę po matce i z podniesioną śmiało głową podążyła do salonu.

Zdało się, że jaśniej i weselej zrobiło się w tym sztywnym, nieprzytulnym, ponurym salonie, kiedy weszła.

Wybiegło ku niej naprzeciw chciwe, przenikliwe spojrzenie mężczyzny, objęło ją całą i zatrzymało się na ustach ślicznych, świeżych, rozkwitłych, nęcących, złożonych w tej chwili w poważną, pełną godności minę.

— Pan Łuniewski — moja synowa...

Łuniewski pochylił głowę w głębokim ukłonie i podniósł do ust rękę młodej mężatki.

Józia, nieprzyzwyczajona jeszcze do tego towarzyskiego przywileju mężatek — poczuła z rozpaczą, że się strasznie czerwieni.

Szybko, może za szybko, cofnęła rękę, której przez chwilę dotknęły suche, gorące wargi Łuniewskiego.

Ale on już z najzupełniejszą swobodą wyraził swoją radość z poznania żony Konrada.

Józia odpowiedziała oklepając, ceremonialną formułą towarzyską i usiadła nieco z boku w cieniu dużego filodendrona, aby łatwiej ukryć nieproszone, kłopotliwe rumieńce i zapanować prędkiej nad niewytłumaczonym jakimś pomieszaniem.

Łuniewski spoglądał na nią nieznacznie, kątami oczu, ale prowadził dalej rozmowę z panią Żarnicką i przekomarzał się wesoło z Lolą.

Tylko gdzieś spodem mózgu wiła się myśl:

— Znowu inna! Przedtem sielankowa, zadumana, polska dziewczyna, teraz „modern“, „amerykańska“ piękność... Cudna!... Cudna!... I dziecko i kobieta!... I to jest mężatka, żona Konrada Żarnickiego!...

Myśl zaczynała świdrować, jak cienki, ale ostry, trochę kolący drucik.

— Jak dawno się państwo pobrali? — zwrócił się nagle do Józii.

Lola spojrzała na niego zdziwiona. To pytanie nie tylko nie wypływało z poprzedniej rozmowy, ale Łuniewski przerwał sobie zajmujące opowiadanie w pół zdania.

— O! Już przeszło miesiąc! — odpowiedziała spokojnie młoda pani Żarnicka.

Zapanowała już nad chwilowym zakłopotaniem i, zasunięta z krzesłem poza rozłożyste liście filodendronu, zdążyła zrobić szereg obserwacji. Sposirzegła, że pan Łuniewski śmiesznie przymruża oczy i w ustach ma coś takiego, że, choć niby poważnie mówi, zdaje się zawsze trochę kpić.

Skonstatowała także, że Lola jest żywo zajęta gościem i albo tego nie ukrywa wcale, albo ukryć nie może.

— Już miesiąc!... — roześmiał się Łuniewski — To dawno! Stara z pani mężatka!... A gdzie odbył się ślub?

— W Krakowie.

— Szkoda, że nie wiedziałem. Byłem wtedy w Krakowie.

— O! Myśmy brali taki cichy, „wojenny“ ślub. Nikogo nie było, oprócz mojego ojca.

— No, musieli być jacyś świadkowie?...

— A byli. Zakryśtyan i dziadek kościelny — odpowiedziała z prostotą Józia.

Łuniewski, rozbawiony, o mało co nie wybuchnął śmiechem. Brwi pani Żarnickiej zsunęły się, a Lola skrzywiła się lekko.

— I nie zaślubiła pani za paradnym ślubem, za hucznym weselem?

— Ani mi to w głowie było!

Józia hardo jakoś odrzuciła w tył głowę.

Wydawało się jej, że Łuniewski chce z niej żartować, czy też traktuje ją jako dziecko.

To pewnie dlatego, że wczoraj na ulicy...

Rozjarzyły się żywe turkusy złotymi iskrami, a potem pociemniały, jak zwykle, kiedy Józia bywała poirytowana...

Prosto i śmiało spojrzała w twarz Łuniewskiemu, zdając się mu mówić roziskrzonym wzrokiem:

— Co ty sobie myślisz, ty, ironiczny panie! Ty mnie jeszcze nie znasz!...

Była w tym podrażnieniu tak uroczenie, niebezpiecznie piękna, że szaro-zielone oczy mężczyzny znieruchomiały w nagłym, niemym, oszalałym zachwycie, a ciało sprężyło się na krótką chwilę, jakby krew warem przebiegła przez żyły.

Trwało to krótko, bardzo krótko, wystarczyło jednak, żeby się Józia znowu zarumieniała — żeby to pochwyciła pani domu i intuicyjnie odczuła Lola.

Niewiadomo, dlaczego umilkli naraz wszyscy i zapanowała kłopotliwa, niemiła cisza, przerywana wreszcie zaproszeniem gospodyni:

— Może przejdziemy do jadalni na podwieczorek...

Kiedy Józia tego dnia, jak zwykle, mówiła po kolacyi swojej szwagierce „dobranoc“, uderzyło ją to, że Lola podała jej tylko końce palców, jak drewno sztywnych.

I to spojrzenie zimne, ostre, odpychające!...

Niedobre przecucie ścisnęło młodą mężatkę za serce.

Co się stało Loli?! Czyżby i tę jedyną w tym domu życziwą duszę utracić miała? I dlaczego?!

— O co ona się gniewa na mnie? Co ja jej złego zrobiłam? — trapiła się Józia, rozczesując na noc swoje gęste włosy. — Może to o to, że ten... ten Łuniewski kilka razy tak dziwnie się na mnie popatrzył!... Ale ja przecież nie chciałam tego!... Później, to ani się spojrzałam, ani odzywałam! Co on mnie obchodził!... Prawda, że przystojny, dowcipny i dosyć miły, ale to nie mój Konrad, o! nie!... Żeby tak więcej śmiałości miała do Loli, tobym jej jutro powiedziała i wytłumaczyła, że nie ma powodu gniewać się na mnie!... Tak, powiem jej — koniecznie!... Jeżeli zawiniłam niechcący, to przeproszę — zdecydowała Józia, układając się pod koldrą.

Tymczasem w jadalni matka i córka pozostały same.

Pani Żarnicka z pod oka przyglądała się Loli, która podparła głowę na ręce, siedziała chmurna, zaszepiona, z ustami ściągniętymi brzydkim grymasem.

— Lolul!

Pani Żarnicka podniosła na matkę pytający wzrok.

— Lolul — powtórzyła, ujmując rękę córki w dłoń i spoglądając jej głęboko w oczy. — Czy widziałaś? Zauważyłaś? Wiesz już teraz, jaka jest ta słodka Józienka!... Przekonaś się nareszcie, że twoja matka zna się lepiej na ludziach, aniżeli ty!...

Dziewczyna milczała ze spuszczoną głową.

— Ty może myślisz, że to był przypadek z tem otwarciem drzwi? Z pewnością widziała go przez okno i poleciała z rozpuszczonymi włosami, napół ubrana! Bezwstydna!...

— Ona taka piękna, mamol! — wyrzekła bezdźwięcznie Lola.

— Piękna?! Nie przesadzaj!... Dużo jest od niej piękniejszych, ale nie tak bezczelnych, więc nie umieją zwracać na siebie w ten sposób uwagi mężczyzn! —

Pani Żarnicka przeszła się kilka kroków po pokoju, potem zwróciła się do córki i pocałowała ją w głowę.

— Idź spać, moje dziecko. Wyśpij się dobrze, żebyś wyglądała ładnie i świeżo. A nie marń się!... Już ja potrafię unieszkodliwić tę żmiję. Gorzej z Konradem, bo on się związał z nią. No, ale może i na to znajdzie się jakaś rada.

Lola nie stanęła tym razem w obronie Józii, tak, jak to zwykła była czynić dawniej.

ROZDZIAŁ VII.

Oстрыm, przeraźliwie donośnym dźwiękiem zabrzmiał dzwonek, energicznie poruszony ręką przewodniczącej.

— Proszę państwa o spokój! O ciszę! Posiedzenie otwarte! Rozpoczynamy obrady!

Uciszyło się, ale nie zupełnie. Słychać było jeszcze szmer rozmów. Tu i ówdzie z jakiegoś kąta wielkiego, obszernego pokoju, zamienionego teraz na salę obrad, dobiegał cienki, urywany chichot.

Prezesowa Kasztalińska podniosła do oczu swoje „lorgnon“, spojrzała na prawo, na lewo, przed siebie. Zadzwońiła jeszcze raz i znowu zawołała — już bardzo głośno i bardzo energicznie:

— Proszę państwa o spokój! Zaczynamy!

Tym razem wezwanie poskunkowało. Zmilkły rozmowy i przycichły śmiechy. Panie przyglądały fałdy sukien i robiły poważne, skupione miny, a panowie — nieliczni dosyć na tem zebraniu — zajmowali z pospiechem miejsca.

Julian Łuniewski usiadł na niskim taburecie, zasunął się w kąt poza krzesłem Loli Żarnickiej i z pod przymrużonych powiek przyglądał się zebranym.

Jego towarzysz, Władek Koszczyc, wkręcił się pomiędzy dwie panny i „emablował“ je naprzemian. Z jednej strony miał Lolę, z drugiej pani Żarnicką o białoróżowej cerze i bezmyślnych, niebieskich oczach porcelanowej laleczki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)